

gdybym mogła zatrzymać ją przy sobie. Wiem narzeczcie, że jest ocaloną, że nie jej już nie grozi... i cieszę się tem niewymownie... bo w ciągu tylu dni i nocy przy niej spędzonych, nie możesz mieć pojęcia, jak się do niej przywiązałam, drżąc o życie biedactwa. Taka podobna do mojej Janinki... którą utraciłam...

Otarła oczy, zachodzące łzami.

— Tak, tak, masz słuszość — rzekł kapłan — to samo spojrzenie i tenże sam uśmiech... także same blond włosy...

— Dziesięć lat upłynęło od śmierci mego dziecka, a żalu po nim ukoić nie zdołałam. Czyżby Bóg litościwy zesał mi w niej drugą córkę? Wszakże powiedziałeś, gdyś ją tu przyniósł, że przynosisz mi może szczęście!

Oboje nagle zamilkli.

Po niejakiś czasie doktor pozwolił Zosi wstać i przechadzać się po pałacu. Dziewczynka najczęściej i najchętniej przebywała w kaplicy, w której czuła się najswobodniejszą. Pewnego dnia zastała w niej panią domu. Usiadła na dywanie u stóp swojej dobrodziejki i powoli... powoli, bezwiednie, szczebiotać zaczęła o ślepej babce i o siostrzyczce, które ją bardzo kochają, kochane przez nią bardzo gorąco. Był to niespodziany cios dla księżnej, która żyła się już poniekąd z myślą, że dziecko — jeśli ma krewnych — zapomniało o nich zupełnie. Tymczasem widocznie odzyskało pamięć. Chwilę zdawała się tem odkryciem przykro dotkniętą, wnet jednak zapanowała nad rozdrażnieniem i postanowiła spełnić to, co nakazywał obowiązek i sumienie. Delikatnie i ostrożnie zaczęła wypytywać Zosię o jej przeszłość i stosunki rodzinne, lecz pomimo wszelkich usiłowań, nie zdołała wydobyć z dziewczęcia wyznania o przyczynach, które doprowadziły jej najbliższe otoczenie do ostatecznej nędzy. Zosia mówiła o matce, zmarłej w szpitalu, o siostrze i Sabine, lecz nie wspominała nic o ojcu i wyroku, skazującym go na śmierć, ani w jakim celu wyszła w nocy sama z domu.

— Prawdopodobnie pragnęłabyś jaknajśpieszniej zobaczyć się z babką i siostrą?

— O tak, pani!... bo... bo chciałabym, żeby Sabinka była także, jak ja obecnie, szczęśliwą...

— Więc powiadasz, moja mała, że czujesz się u mnie szczęśliwą? Jakże mnie to cieszy. Nie wolno ci jednak jeszcze na świeże powietrze wychodzić. Doktor nie pozwala. Odsłoń nieco franki i spojrzj na ulicę. Widzisz, śnieg pada. Rozumiesz chyba, jak byłoby dla twego zdrowia niebezpiecznem wyjść z ciepłych pokoi na mróz, od którego tyle ucierpiałas.

Zosia zamyśliła się i zamilkła, księżna wyczytała jednak w jej wzroku wdzięczność, jaką dziecko przejęte było dla „dobrej pani”, która tak czule pielęgnowała je w chorobie. Dziewczynka nie umiała uczuć swoich wysłowić, lecz ożywienie twarzyczki, blask ślicznych, błękitnych oczu i słodczy uśmiechu, świadczyły więcej o jej wdzięczności od wszelkich, choćby najpiękniejszych wyrazów. Nagle rześiste łzy popłynęły z pod powiek dziewczątka, ale otarła je szybko i szepnęła z westchnieniem:

— Chciałabym tylko ucałować babcię i Sabinę, a potem powróciłabym zaraz. Czy pani pozwoli mi pójść do nich dzisiaj?

W tej chwili lokaj zaanonsował lekarza.

— W czas przybywasz szanowny doktorze — rzekła księżna. — Nasza mała wybiera się z domu. Chce odwiedzić krewnych, z którymi nie widziała się oddawna.

— O, nie! nie! Za nic w świecie! Chora musi jeszcze dwa tygodnie spędzić w pałacu.

— Możebyś pozwolił, panie konsyliarzu, żebym ją zawiozła w zamkniętej karecie.

— Pod żadnym pozorem. Najłżejsze przeziębienie sprowadzić może recydywę, a recydywa w stanie, w jakim się znajduje, grozi katastrofą.

— Widzisz, moje dziecko — powiedziała księżna po odejściu lekarza — musisz tu jeszcze pozostać. Nie mogłabym wziąć na siebie odpowie-

dzialności za odwiezienie cię do babki i siostry, lecz jeśli wskażesz mi ich adres, sama pojadę, albo wyprawię mego brata, a on się z pewnością dowie, co się z nimi dzieje.

— Czy pani pozwoli, żeby do mnie przyszedł? — a mówiąc to, oczy dziewczynki zapalały radosnymi blaskami.

— Widzę, że się nudzisz ze mną — rzekła księżna — i nie dziwię się temu. Jestem stara i niemal zawsze chmurna, a dzieci nie lubią siwych włosów i ludzi smutnych. Tak, tak... istotnie nie często bywam wesołą.

— A jednak pani taka bogata! Tu tak pięknie... tak pięknie!... że nieraz patrząc na to wszystko, zdaje mi się, że śnię... albo, że jak w bajce dobra jakaś wróżka przeniosła mnie do zaczarowanego, królewskiego zamku...

— Chciej wierzyć, moja mała, że bogactwo szczęścia nie daje... nie pociesza po doznanych zawodach i nie koi żalu, spowodowanego żałobą.



Zdaje mi się, że ci przyniosłam szczęście...

Pieniądz tyle tylko radości sprawia, o ile go między biednych rozdać można!

To mówiąc, wzięła Zosię za ręce i pocałowała ją w powieki, z pod których sączyły się łzy rześiste.

— Pieniądze! pieniądze! — mówiła szeptem dziewczynka, wznosząc wilgotne oczy na księżną — och, pieniądze! Gdyby pani wiedziała, jak nieszczęśliwymi są ci, którzy ich nie mają i muszą zebrać, żeby nie umrzeć z głodu. Gdyby można było przynajmniej życie sobie odebrać, ale nie wolno... Bóg zabrania.

Wyrazy dziecka, wypowiedziane z naiwną prostotą, wzruszyły księżną do głębi. Szlachetna i wspaniała dzieliła się swymi dochodami z liczną rzeszą wydziedziczonych, lecz dochodami tylko, bo dobra ziemskie i kapitały przechowywać musiała nieuszczerplone dla młodego hrabiego Jerzego Wielogrodzkiego, syna opłakiwanego przez nią starszego brata, na którego według woli rodziców, wyrażonej w testamencie, przechodził z czasem (nie miała bowiem własnych dzieci) cały jej majątek. Przysięgła to ojcu i matce, gdy jeszcze żyli, więc danego słowa dochowywała święcie.

— No, dziecko moje — rzekła po chwili — ponieważ chcesz koniecznie widzieć się z babcią i siostrzyczką, więc sama po nie pojadę.

— Och, jaka pani dobra!... dziękuję... bardzo dziękuję!

— A adres?

— Numeru nie pamiętam, ale bardzo łatwo trafić: pierwsza uliczka na Nowem-Mieście, idąc od strony Wisły... w bok, na prawo od kościoła... Dom brudny, odrapany z tynku...

— No, no, może i trafię. A jakże się twoja babunia nazywa?

— Pani Żarska.

Nazwisko nie obudziło w umyśle księżnej żadnych podejrzeń. Wyjęła z sekretarzyki notatnik, zapisała w nim informacje Zosi i zadzwoniła. Wszedł służący.

— Proszę powiedzieć stangretowi, żeby zajechał.

Narzuciła na ramiona długi płaszcz futrzany i pożegnawszy się raz jeszcze z Zosią, zbiegła ze schodów.

W pół godziny potem karetą jej zatrzymała się przed wskazanym domem. Księżna wyskoczywszy z powozu, weszła w bramę, w której łatwo znalazła izdebkę stróżki. Otworzyła niskie drzwi do niej wiodące i zapukała:

— Gdzie mieszka pani Żarska?

— O, mój Boże! — odparła stara kobieta tonem osoby, powtarzającej kilkakrotnie już wygłaszane opowiadanie. Pani Żarskiej tu niema. Stała się z nią niby cała historia. Pewnego wieczora, gdy jedna z jej wnuczek nie wiadomo gdzie zniknęła i bez drugiego dnia do domu nie wróciła, staruszka po prostu zwaryowała. Chwyciła drugą dziewczynkę za rączkę i poleciała Bóg jeden wie dokąd. To już miesiąc temu będzie. Może... Boże broń!... utopiła się razem z dzieckiem, albo inną jakąś śmierć zadała, bo tu u nich okrutna była bieda. Bywało, proszę paniusi, ani cebulki, ani w co wkrapać nie co u nich kładły warzone... ba, i zimne do gęby. Jak Zosia... bo to, proszę paniusi, bliźniaczki... dobrze mówię, gdy Zosia przepadała, to stara, wraz z Sabiną, całą noc nie spały. Przyszły do mnie i płakały, że aż serce się ścisnęło. U ślepej, proszę paniusi, to te jej białe, blachmanem zasze oczy, zrobiły się duże, jak dwa ruble srebrne!

Potok słów, przecięty astmatyczną dusznością, urwał się nagle.

Księżna nie starała się ukrywać swego wzruszenia.

— Nie trzeba jednak brać tego bardzo do serca, proszę paniusi — ciągnęła dalej stróżka, odetchnawszy głęboko — bo bieda u nas w Warszawie straszna i niejedna porządna familia umiera z głodu. Niechże pani, będzie łaskawa usiąść... tu, na ławeczce. Dali Bóg, że czysta, bo ja kocham się w czystości, więc każdy sprządek szoruje szczerotką z gorącą wodą... o, tak... a potem niby szklankę, wycieram płócienną ściereczką.

Księżna siadła na ławce. Myśl, że to ona może stała się przyczyną całego nieszczęścia, wstrząsnęła nią do głębi. Dla czego zaraz po znalezieniu Zosi nie dowiedziała się, gdzie mieszka jej babka?... Ależ nie mogła tego uczynić!... Jest niewinna... Wszakże dziewczynka leżała bezprzytomna w gorączce. Nic od niej dowiedzieć się nie było można. Przesunęła rękę po pięknej jeszcze czole i spytała drżącym głosem:

— Czy nie mieliście o zaginionej żadnej wiadomości?

— Żadnej. Byłam w cyrkule, bo to o takich wypadkach trzeba koniecznie donosić... no, i prosiłam, żeby policja szukała...

Czy szukano?

— Pewno... ale nie znaleziono. Jak kamień w wodę, proszę paniusi. Aha, dowiedziano się ino, że ci niby Żarscy, to rodzina onego doktora, co miał zamordować jakiegoś hrabiego... a ona ślepa, to matka wysłanego do „katorżnych” robót... a dziewczynki, to jego córeczki...

Ciąg dalszy nastąpi.